

GIOVANNI BOCCACCIO

DEKAMERON,
DZIEŃ PIĄTY

Giovanni Boccaccio
Dekameron, Dzień piąty
Серия «Dekameron»

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23527738

Dekameron, Dzień piąty:

Аннотация

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Содержание

Opowieść pierwsza. Podwójne porwanie	4
Opowieść druga. Strzały Martuccia	20
Opowieść trzecia. Na włos od śmierci	30
Конец ознакомительного фрагмента.	32

Giovanni Boccaccio

Dekameron, Dzień piąty

Opowieść pierwsza. Podwójne porwanie

Cymon, zakochawszy się, rozumnym człekiem się staje i porywa na morzu umiłowaną swą Ifigenię. Na wyspie Rodos dostaje się do więzienia, z którego uwalnia go Lysimachus. Obaj razem porywają Ifigenię i Kasandrę w czasie ich wesela i uciekają z nimi na Kretę; później z nimi, jako żonami swymi, do ojczyzny zostają przyzwani.

Już wschód w srebrzystej stanął bieli i słońce promieniami swymi całą naszą półkulę oświeciło, gdy Fiammetta, zbudzona wdzięcznymi śpiewy¹ ptaków, zwiastujących z drzew i krzewów pierwszą dnia godzinę, wstała i resztę towarzystwa obudzić kazała. Zebrawszy się, udali się na przechadzkę. Wolnym krokiem zeszli w pola i przechadzali się po rozległej dolinie wśród pokrytych rosą traw, wesoło gwarząc o rzeczach różnych, póki słońce nie stanęło wyżej na niebie. Gdy słoneczne promienie żarem tchnąć poczęły, towarzystwo do

¹ *wdzięcznymi śpiewy* – dziś popr. forma N.lm: wdzięcznymi śpiewami. [przypis edytorski]

domu powróciło, aby pokrzepić się wybornym winem i różnych słodyczy skosztować. Potem, do obiadu, wszyscy w ogrodzie rozkoszonym się zabawiali. Gdy czas obiadu nadszedł, marszałek wszystko do posiłku przygotował. Na rozkaz królowej zagrano na cytrze i kilka piosenek odśpiewano, a potem towarzystwo ochoczo do stołów zasiadło. Po wesołym, ale pełnym umiaru obiedzie wedle obyczaju poczęli tańczyć przy dźwięku instrumentów. Wreszcie królowa wszystkich na spoczynek odpuściła. Niektórzy legli na łoża, inni zasię² ostali w ogrodzie, aby różnym rozrywkom się oddawać. Gdy nadeszła godzina dziewiąta, wedle obyczaju wszyscy zebrali się koło fontanny. Królowa, pierwsze miejsce zajmąwszy, spojrzała z uśmiechem na Panfila i rozkazała mu rozpocząć szereg wesołych opowieści. Panfilo, posłuszny wezwaniu, zaczął w te słowa:

– Miłe damy! Wiele znam opowieści, którymi wesoły dzień dzisiejszy zacząć by było można, ale jedna z nich szczególnie mi do smaku przypada, nie tylko bowiem szczęśliwie się kończy, czego materia naszych opowieści dzisiaj wymaga, lecz i okazuje dowodnie, jak świętą, potężną i dobroczynną jest moc miłości, która wiele ludzi niewiedzących, co mówią, ośmiela się najniesłuszniej ganić i przeklinać. Mniemam, że wszystkie tutaj zebrane miłujecie; dlatego też historia moja przypaść wam winna do serca.

„Z starożytnych kronik wiadomo nam, że na wyspie Cypr żył ongiś człek szlchetnego rodu, zwany Aristippem, z którego

² *zasię* (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

mieniem mienie żadnego z jego współziomków w paragon³ wchodzić nie mogło. Los mu wielce sprzyjał we wszystkim krom⁴ jednej rzeczy, która mu wiele smutku przyczyniała. Jeden z jego synów, urodą i postacią nad braćmi swymi górujący, miał wielce tępe przyrodzenie⁵ i żadnych nie budził nadziei. Młodzieńca tego zwano Galeso. Chocia preceptor⁶ starań i trudów, a rodzic pieściot i plag nie litował⁷, nie sposób mu było wbić w głowę czy to litery alfabetu, czy zasady przystojnych obyczajów. Głos jego pozostał grubym i chrapliwym, a zachowanie godniejsze bydłęcia niż człowieka. Dlatego też nazwano go kpiąco Cymonem, co tyle znaczy w tamtejszym języku, ile u nas »bałwan« lub »bydlę«. Nieszczęśliwy ojciec płakał gorzko nad losem syna, aż wreszcie, straciwszy wszelką nadzieję uszlachetnienia go, wysłał go na wieś, aby tam z parobkami przestawał, nie chciał bowiem mieć ciągle na oczach ciężkich swoich zmartwień powodu. Cymon wielce się z tego ucieszył, bowiem obyczaje pospólstwa bliższe mu były niżli obyczaje ludzi polerownych⁸. Udał się zatem na wieś i tam gospodarstwem się zajął. Pewnego dnia po południu szedł z

³ w *paragon wchodzić* (daw.) – iść w zawody; dorównywać komuś. [przypis edytorski]

⁴ *krom* (daw.) – oprócz. [przypis edytorski]

⁵ *przyrodzenie* (daw.) – tu: natura. [przypis edytorski]

⁶ *preceptor* (daw.) – wychowawca, nauczyciel. [przypis edytorski]

⁷ *litować* (daw.) – tu: żałować, skąpić. [przypis edytorski]

⁸ *polerowny* – cechujący się ogładą towarzyską i wykształceniem. [przypis edytorski]

kijem na ramieniu z jednego folwarku na drugi. Był maj. Droga szła przez piękny gaik, który w tej porze roku stał w zieleni. Ani chybi, sam los jego krokami kierował. Przechodząc przez łączkę, otoczoną wysokimi drzewami, obaczył wielce urodziwą młodą dziewczkę, śpiącą obok źródła tchnącego świeżością. Cienka, przezroczysta szata, okrywająca śpiącą dziewczkę, pozwalała dokładnie rozróżnić jej piękne kształty. Śnieżnej białości okrycie szczelniej ją zasłaniało tylko od pasa do nóg. U stóp jej spoczywały dwie białogłowy i mężczyzna, widać na służbie u niej pozostający. Cymon jakby po raz pierwszy w życiu obaczył kształtne członeczki niewieście; oparty na kiju, w niemym osłupieniu przypatrywał się dziewczce długo i uważnie. I oto nagle w jego nieokrzesanej duszy, której tysiączne usilne starania uszlachetnić dotąd nie zdołały, zrodziła się myśl, że dziewczę to jest najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek śmiertelny wzrok mógł ujrzeć. Tak myśląc zważał pilnie wszystkie jej ciała ponęty, podziwiał prześliczne jej włosy, które mu się złotymi wydawały, czoło, usta, nos, szyję i ramiona, w szczególności zaś dziewicze piersi, nie całkiem jeszcze rozwinięte. Przedzierzgnąwszy się nagle z gburą w wielbiciela piękności, jął⁹ pragnąć gorąco, aby dziewczka otworzyła oczy, głębokim snem zamknięte. Kilka razy przychodziła nań pokusa obudzenia młódki, iżby je zobaczyć; aliści¹⁰, jako że zdała mu się ona od wszystkich widzianych białogłów piękniejsza, nie śmiał tego uczynić, ze

⁹ *jąć* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

¹⁰ *aliści* (daw.) – jednak, jednakże. [przypis edytorski]

strachu, że mógłby w niej jakąś boginię obrazić. Wiedząc tyle, że niebiańskie istoty mają większe prawo do czci niżli ziemskie, postanowił zaczekać, aż dziewczeczka sama oczy otworzy. To oczekiwanie męczyło go, jednakoż zatopiony w rozkoszy nie ruszał się z miejsca. Wreszcie dziewczeczka, którą Ifigenią zwano, ocknęła się wcześniej od swych towarzyszy, podniosła głowę i obaczywszy Cymona, który stał przed nią, na lasce oparty, wielce się zdziwiła i rzekła:

– Czego szukasz, Cymonie, w gaju o tej godzinie?

Cymon znany był w tej okolicy każdemu, dzięki swojej urodzie, głupocie i bogactwu swojego ojca. Nie odparł on nic na pytanie Ifigenii, jeno¹¹ wpatrywał się uparcie w jej oczy, bowiem zdało mu się, że spływa nań z nich jakaś niewymowna słodycz, dotychczas mu nieznana. Dziewieczka spostrzegła to, a obawiając się, aby dzikus od tak osobliwego wpatrywania się w nią nie przeszedł do jakichś nieobyczajnych ruchów, podniosła się, zawołała na służbę swoją i rzekła:

– Bądź zdrów, Cymonie!

Cymon jednak, nie chcąc odejść, odparł:

– Pójdę z tobą!

I chociaż młódka, wciąż jeszcze mu niedowierzająca, przystać na to nie chciała, pozbyć się go nie mogła i młodzieniec aż do samego domu ją odprowadził. Po czym udał się natychmiast do swego rodzica i oznajmił mu, że pod żadnym warunkiem dłużej na wsi nie pozostanie. Ojcu i krewniakom

¹¹ jeno (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

wielce to nie po myśli było, pozwolili mu jednakże wrócić do miasta, ciekawi byli bowiem dowiedzieć się, co tak jego gusty odmieniło. Cymon zaś, którego serce, żadnemu wpływowi dotąd nieprzystępne, piękność Ifigenii strzałą miłości przeniknęło, w krótkim czasie ojca swego, krewniaków i wszystkich znajomych w zadziwienie wprawił. Naprzód bowiem poprosił ojca, aby dał mu te same stroje i ozdoby, co jego braciom, na co ojciec zgodził się z radością. Potem jął przestawać z młodzieńcami wykształconymi, uczył się od nich obyczajów i dworności, które szlachetnie urodzonym ludziom, a zwłaszcza kochankom, przystoją, i w ten sposób, ku powszechnemu zadziwieniu, w krótkim przeciągu czasu nie tylko samych liter się nauczył, aliści stał się i w filozofii uczniem wielce biegłym. Wszystko to było skutkiem jego miłości do Ifigenii. Wkrótce nie tylko głos gruby i prostacki przemienił w miły i pełen ogłady, ale opanował sztukę śpiewu i grę, stał się zawołanym jeźdźcem i we wszelkich wojennych ćwiczeniach na lądzie i morzu celować począł. Nie będę się tutaj szerzył¹² nad wszystkimi jego przymiotami, powiem jeno, że i cztery lata nie minęło od dnia, w którym się zakochał, a już młodzieży cypryjskiej wykształceniem i szlachetnymi obyczajami przodował. Cóż więc, urodziwe panie, rzec będziemy mogli o tym Cymonie? Ani chybi, pomyśleć musimy, że w jego niepospolitej duszy kryły się bogate dary niebios, które zawistna fortuna w najsilniejszych pętach w małym zakątku jego serca trzymała; dopiero Amor,

¹² szerzyć się – tu: rozwodzić się; szeroko omawiać. [przypis edytorski]

od fortuny potężniejszy, łańcuchy te rozerwał. Bóg miłości, co budzi drzemiące talenta, rozproszył mgłę i umysł jasnym światłem oświecił, chcąc pokazać, z jakich otchłani może ducha człowieczego wydobyć, aby jego przymioty w niezaćmionym przedstawić blasku. Chociaż Cymon, jak to pospolicie z zakochanymi młodzieńcami się zdarza, w objawach swej miłości do Ifigenii nieraz miarę przechodził, jednakoż ojciec jego wszystko to cierpliwie znosił; owszem, zważywszy, że Amor syna jego z barana na człowieka przemienił, zachęcał go sam do miłości. Młodzieniec przez pamięć, że Ifigenia przy pierwszym spotkaniu Cymonem go nazwała, zatrzymał to imię, zamiast właściwego, Galeso. Cymon, pragnąc miłość swoją uwieńczyć, kilkakroć udawał się do Cypsea, ojca Ifigenii, aby go o jej rękę poprosić. Aliści Cypseo odpowiadał zawsze, że przyrzekł był ją już młodemu rodyjskiemu szlachcicowi, Pasimundzie.

Gdy nadszedł dzień ułożonych zaślubin, narzeczony przysłał po Ifigenię. Wówczas Cymon rzekł do siebie: »O Ifigenio, teraz przyszła stosowna pora, w której dowieść należy, jak cię miłuję. Dzięki tobie człowiekiem się stałem, a jeśli cię teraz posiadę, zaiste za równego bogom się poczytam! Albo będziesz należała do mnie, albo zginę«.

Zwoławszy w tajności na naradę kilku przyjaciół, uzbroił okręt, wyruszył na nim na morze i jął oczekiwać na statek, który miał odwieźć Ifigenię na Rodos do jej męża.

Tymczasem ojciec młodej dziewczyny, przyjąwszy z wielką czcią wysłańców swego przysłego zięcia, oddał im Ifigenię, a

statek, wypłynąwszy na morze, skierował swój dziób ku Rodos. Cymon, niezasypiający sprawy, dopadł go następnego dnia. Zbliżywszy się do korabia, zawołał wielkim głosem:

– Zatrzymajcie się i zwińcie żagle, jeżeli nie chcecie zginąć w głębi morza!

Na ten okrzyk Rodyjczycy porwali za broń i do walki się przygotowali. Cymon zarzucił hak żelazny na tył rodyjskiego statku, który uchodził pośpiesznie, i przyciągnąwszy go do dzioba swego okrętu, skoczył nań z odwagą lwa, nie oglądając się nawet, czy kto idzie w jego ślady, i nie zważając na liczbę wrogów swoich. Miłość dodała mu sił. Z nożem w rękę rzucił się w sam środek nieprzyjaciół, którzy wokół niego, ranni i martwi, padali jak barany. Wreszcie Rodyjczycy, grozą przejęci, rzucili broń i za zwyciężonych się uznali, błagając Cymona, aby ich wziął w niewolę. Wówczas Cymon rzekł do nich:

– Młodzieńcy! Nie żądza łupu ani nienawiść do was pobudziła mnie k'temu¹³, że opuściwszy Cypr z orężem w rękę tu, na morzu, na was napadłem. To, co jest dla mnie najdrogocenniejszym skarbem i co mi na czyn ten porwać się kazało, łatwo¹⁴ i bez zwady otrzymać od was mogę. Miłuję Ifigenię ponad wszystko, a jeśli siłą z rąk waszych ją biore, to winien temu jest jej rodzic, który mi jej po dobrej woli dać nie chciał. Stanę się dla niej tym samym, czym chciał być wasz Pasimunda. Oddajcie mi ją i ruszajcie z Bogiem!

¹³ *k'temu* (daw.) – do tego. [przypis edytorski]

¹⁴ *łatwie* – dziś popr. forma: łatwo. [przypis edytorski]

Rodyjczycy raczej z konieczności niż z dobrej woli oddali Cymonowi płaczącą Ifigenię. Cymon, ujrzawszy ją we łzach, zawołał:

– Nie trap się, najmilsza! Jestem twoim Cymonem, który wytrwałą miłością swoją więcej praw do ciebie zyskał niżli Pasimunda dzięki obietnicy rodzica twego.

Po czym, nie tknąwszy nic z własności Rodyjczyków, rozkazał przeprowadzić dziewczeczkę na swój pokład, wrócił sam na statek i odpłynął.

Cymon, niezwykle uradowany z tak drogocennej zdobyczy, ze wszystkich sił starał się pocieszyć Ifigenię. Potem zwołał na radę towarzyszków swoich i spytał, azali bezpiecznie będzie na Cypr powrócić. Wszyscy osądzili, że lepiej będzie ku Krecie się obrócić, gdzie niemal każdy z nich, a zwłaszcza Cymon, dzięki dawnym i nowym związkom, wielu przyjaciół i znajomych posiadał i gdzie, jak sądzili, mogli być z Ifigenią bezpieczni. Aliści niestała fortuna, która tak łatwo¹⁵ pozwoliła mu owoładnąć umiłowaną dziewczeczką, nagle niezmierną radość zakochanego młodzieńca w gorzki smutek przemieniła. Nie upłynęły bowiem jeszcze cztery godziny od chwili napaści na rodyjski korab, gdy nastąpiła noc, od której Cymon najwyższej, nieznannej mu jeszcze rozkoszy się spodziewał; aliści¹⁶ podniósł się wiatr gwałtowny, niebo się zamroczyło chmurami i całe morze strasznie się poburzyło. Nikt nie wiedział, co począć ani w którą stronę

¹⁵ *łatwie* – dziś popr. forma: *łatwo*. [przypis edytorski]

¹⁶ *aliści* (daw.) – jednak, jednakże. [przypis edytorski]

okręt płynie; marynarze, spełniając swoją służbę, z trudnością na nogach się utrzymywali. Jak głęboko się tym Cymon strapił, mówić nawet nie trzeba. Zdało mu się, że bogowie tylko dlatego jego marzenie spełnili, aby silniej odczuł teraz okropność śmierci, która go dawniej nie straszyla. Towarzysze jego także w głos się skarżyli, ale najżałośniej zawodzila Ifigenia, płacząca i drżąca całym ciałem przy każdym pochyleniu się okrętu. W rozpacznych słowach przeklinała miłość Cymona i wyrzekała na jego zuchwalstwo, twierdząc, że gniew bogów jest przyczyną tej burzy, bowiem bogowie nie chcą, aby Cymon, wzbity w pychę, wbrew ich woli za małżonkę ją pojął, postanowili naprzód ją życia pozbawić, a potem i jego uśmiercić. Wiatr tymczasem dał z coraz większą siłą, tak iż marynarze całkiem głowy potracili.

Gdy tak wszyscy nie wiedzieli, dokąd płyną, okręt zbliżył się do brzegów Rodosu. Marynarze, nie domyślając się nawet, że to Rodos, i widząc brzeg ziemi, wszelkich wysiłków dokładali, ażeby na ląd się dostać i życie uratować. Los był im w tej mierze przychylny, wiatr zagnał okręt do małej zatoki, do której niedawno zawiął był okręt z Rodyjczykami. Dopiero gdy świt nastał i zorza na niebie błysnęła, towarzysze Cymona ujrzeli okręt Rodyjczyków, stojący od nich nie dalej jak na strzał z łuku. Na ten widok Cymon przeraził się niewymownie i rozkazał wszelkich sił ku temu dołożyć, aby buchtę opuścić, choćby potem i przyszło zdać się na losy przeciwne, nigdzie bowiem groźniejsze niebezpieczeństwo na nich czekać nie może. Wszystkie ich wysiłki jednakoz daremne były; okrutny wicher

dał tak silnie, że nie tylko wyjść im na pełne morze nie dozwolił, ale mimo rozpaczego oporu, do lądu ich przyparł. Gdy tylko do brzegu się przybliżyli, natychmiast marynarze rodyjscy ich poznali. Kilku z nich pobiegło do pobliskiego grodu, aby uwiadomić młodych panów rodyjskich, którzy już pierwaj na ląd wyszli, że Cymon z Ifigenią zostali przygnani burzą do tego samego miejsca co i oni. Szlachcice rodyjscy, niezmiernie tą wieścią uradowani, zebrawszy liczną gromadę uzbrojonych ludzi, pobiegli na brzeg morski. Tymczasem Cymon i jego ludzie, opuściwszy pokład, postanowili w pobliskim lesie schronienia szukać, alieści pochwycono ich wraz z Ifigenią i do wsi odprowadzono. Pasimunda na wieść o tym wniósł skargę przed senat rodyjski. Senat wysłał Lysimacha, będącego w tym roku wielkorządcą Rodosu, z mnogim oddziałem żołnierzy, aby stamtąd Cymona wraz z jego towarzyszami do więzienia przeprowadził. Takim oto sposobem postradał nieszczęśliwy Cymon ledwie pozyskaną Ifigenię, nie otrzymawszy od niej nic więcej od kilku pocałunków. Ifigenię powitały ze czcią szlachcianki rodyjskie, starając się zatrzeć w jej pamięci wrażenia niewoli i strachu, przeżytego przez nią w czasie burzy, i zajmując się nią troskliwie aż do dnia naznaczonego na zaślubiny.

Pasimunda wielce się o to starał, aby Cymon i jego towarzysze na śmierć skazani zostali, jednakoż szlachta rodyjska, z którą ów tak łaskawie się był obszedł, wolność jej powracając, nastawała na to, aby życie im darowano, skazując ich jeno¹⁷ na wieczyste

¹⁷ jeno (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

więzienie. Cymon z towarzyszami znalazł się tedy¹⁸ w lochu, gdzie wiek swój trawił w rozpacz, nie mając żadnej nadziei na wyzwolenie. Tymczasem, gdy Pasimunda z przygotowaniami do wesela się śpieszył, los, jak gdyby żałując krzywdy Cymonowi wyrządzonej, przyszedł mu z nieoczekiwaną pomocą.

Pasimunda miał młodszego, ale nie mniej godnego brata, imieniem Ormisda, który przez długi czas ubiegał się o rękę pewnej pięknej i szlachetnej dziewczycy, Kasandry zwanej. Ową Kasandrę miłował także Lysimachus; Pasimunda, przygotowując wielkie uroczystości na dzień swych zaślubin, pomyślał, że dla uniknięcia niepotrzebnych wydatków i straty czasu, dobrze będzie jednocześnie z swoim weselem wesele Ormisdy odprawić. Porozumiał się tedy raz jeszcze z rodzicami Kasandry i skłonił ich do tego, iż Ormisdę za zięcia przyjęli, zgadzając się na dopełnienie zaślubin tego samego dnia. Lysimachus, dowiedziawszy się o tym postanowieniu rodziców Kasandry, niszczącym wszystkie jego nadzieje, niepomiernie się strapił; dotychczas bowiem spodziewał się ciągle, że jeśli Ormisdzie odmówią, to on Kasandrę dostanie. Jednakoż, jako człek wielce roztropny, z gniewem swym się nie zdradził, ale ją¹⁹ rozmyślać nad tym, jak by wykonaniu tych zamysłów przeszkodzić, wreszcie postanowił, że jest tylko jeden środek: porwanie Kasandry. Sprawa ta wydała mu się łatwa ze względu na godność, jaką piastował, ale bardziej z tego powodu występna.

¹⁸ *tedy* (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

¹⁹ *jąć* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

Po długiej walce dusznej²⁰ cześć ustąpiła wreszcie miejsca miłości i Lysimachus postanowił wprowadzić Kasandrę, choćby go to i życie kosztować miało. Głowiąc się nad tym, czyją pomoc mógłby tu sobie zapewnić i jak do rzeczy przystąpić, wspomniął o Cymonie, który pospołu z towarzyszami w lochu siedział. Lepszych i wierniejszych pomocników w tym wypadku znaleźć by nie mógł. Najbliższej nocy rozkazał tedy tajnie ich do siebie przywieść i rzekł do nich w te słowa:

– Cymonie! Bogowie, rozdzielający łaskawie i hojnie dary swoje między śmiertelników, lubią także często cnotę ich na twarde próby wystawiać. Tych, których w losu niestatkach stałymi i nieugiętymi znajdują, obdarzają nagrodą najwyższą, bowiem uważają ich za zasługujących ze wszech miar na nią. Dlatego też i ciebie postanowili doświadczyć w większej mierze, niżby to było możliwe, gdybyś przebywał w domu ojca swego, który, jak słyszę, jest pono wielce bogatym człowiekiem. Naprzód tedy, jak powiadają, serce twoje zapaliło się pragnieniem miłości, która z grubego zwierzęcia w człowieka cię przemieniła; potem nieszczęsnych przygód i więzienia zaznać musiałeś. Bogowie drogą tych doświadczeń uznać pragną, czy duch twój silnym pozostał, takim, jakim był wówczas, gdyś się radował, zdobyczą owładnawszy. Jeśli jest tak w samej rzeczy, to bogowie gotowi są obdarzyć cię najwyższym szczęściem, o czym chcę cię uwiadomić, abyś już teraz dawne siły ducha w sobie skrzepił. Otóż Pasimunda raduje się z zwycięstwa swego nad tobą

²⁰ *duszny* (daw.) – duchowy; związany z duszą. [przypis edytorski]

i chciał, byś śmierć poniósł, a teraz przyśpieszyć się stara związek swój z Ifigenią, którą los już raz tobie oddał po to, aby ją ci nagle odebrać. Jak nad tym boleć musiałeś, wiem najlepiej ja, bowiem podobne cierpienia znoszę. W tym samym dniu co ciebie i mnie okrutny los ma spotkać: obaczę Kasandrę żoną Ormisdy, który jest bratem wroga twego. Jeden tylko widzę środek, aby móc do podobnej niesprawiedliwości fortuny nie dopuścić: z orężem w rękę porwać musimy umiłowane przez nas białogłowy. Powrócona ci wolność bez Ifigenii wielkiej wartości, jak tuszę²¹, dla ciebie mieć nie może; aliści²² odzyskanie niewiasty tej kładą ci w ręce bogowie, jeżeli chcesz wziąć udział w tym, co zamierzyłem.

Słowa te powróciły Cymonowi straconą otuchę. Nie namyślając się długo, odparł w te słowa:

– Lysimachu! Nie znajdziesz wierniejszego i mężniejszego pomocnika niżli ja. Rzeknij mi tylko, co mam uczynić, a obaczysz, że dokonam wszystkiego z nadprzyrodzoną prawie siłą.

– Za trzy dni – rzekł Lysimachus – młode oblubienice mają wstąpić do domu swoich mężów. Wieczorem tedy²³, ty ze swymi towarzyszami, a ja z oddziałem zbrojnych, którym ufam najbardziej, wtargniemy do wnętrza domu o zmierzchu, porwiemy nasze umiłowane od biesiadnego stołu i uprowadzimy

²¹ *tuszyć* (daw.) – mieć nadzieję; por.: otucha. [przypis edytorski]

²² *aliści* (daw.) – jednak, jednakże. [przypis edytorski]

²³ *tedy* (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

je na okręt, który już tajemnie przygotować kazałem. Kto nam na wstępie stanąć²⁴ się odważy, zginie nędznie!

Zamysł ten wielce się Cymonowi podobał. Powrócił spokojnie do więzienia i jął czekać na dzień oznaczony. Nadszedł wreszcie dzień zaślubin. Zaczęła się wspaniała uczta i cały dom obu braci wesołością rozbrzmiewał. Tymczasem Lysimachus wszystko już przygotował. Cymon, jego towarzysze i przyjaciele Lysimacha otrzymali broń, którą pod szatami ukryli. Lysimachus gorącymi słowami²⁵ do walki ich zagroził, a potem na trzy hufce podzielił. Pierwszy ostawił w przystani, aby nikt w stosownej chwili na okręt wejść im nie przeszkodził, a z dwoma drugimi do domu Pasimundy wyruszył. Tutaj jeden oddział stanął przed drzwiami na przypadek, gdyby ktoś od wnętrza te drzwi zamknąć się starał, odwrót im odcinając. Nareszcie na czele ostatniego oddziału Cymon i Lysimachus weszli na górę, do sali weselnej, gdzie obie oblubienice, otoczone damami, za stołem siedziały pożywając. Napastnicy obalili stoły, pochwycili swoje umiłowane i natychmiast powierzyli je towarzyszom z rozkazem, aby je na okręt uprowadzili. Białołowy poczęły płakać i lamentować, goście i służba także krzyk podnieśli, tak iż cały dom wrzawą i jękiem się napełnił. Cymon i Lysimachus dobywszy mieczów przebili się z towarzyszami przez tłum gości ku wyjściu, nie napotykając oporu. Na schodach rzucił się na nich Pasimunda, który, na gwałt podniesiony, nadbiegł

²⁴ *stanąć na wstępie komuś* (daw.) – przeszkodzić komuś. [przypis edytorski]

²⁵ *gorącymi słowami* – dziś popr. forma N.lm: (...) słowami. [przypis edytorski]

z ogromną pałką w ręku. Cymon ciał go mieczem tak potężnie przez głowę, że go trupem u nóg swoich położył. Od drugiego ciosu poległ nieszczęsny Ormida, śpieszący na pomoc bratu swemu. Kilku innych, chcących podejść bliżej, odparli towarzysze Lysimacha i Cymona i rannych porzucili na placu. Ostawiwszy dom, pełen krwi, jęków, skarg i żałoby, nie mieszkając²⁶, wraz z łupem bez przeszkód do okrętu dotarli. Wprowadziwszy białogłowy na pokład i wszyscy znalazłszy się na statku, odbili od brzegu, bowiem już im zagrażał tłum zbrojnych, którzy śpieszyli na odsiecz białogłowom.

Po przybyciu na Krete Cymon i Lysimachus, serdecznie przez licznych krewniaków i przyjaciół witani, zaślubili damy swoje wśród nieskończonych i świetnych uroczystości, ciesząc się wywalczoną zdobyczą. Na Cyprze i Rodosie długo jeszcze chodziły słuchy o ich zuchwałym czynie, który powszechne wzburzenie wywołał. Aliści tu i tam, dzięki poplecniectwu przyjaciół i krewnych, wreszcie winowajcom przebaczone, tak iż Cymon z Ifigenią na Cypr, a Lysimachus z Kasandrą na Rodos zadowoleni powrócili. Tam pospołu z żonami swymi długo jeszcze w szczęściu i w miłości żyli”.

²⁶ *nie mieszkając* (daw.) – nie zwlekając, nie tracąc czasu. [przypis edytorski]

Opowieść druga. Strzały Martuccia

Konstancja miłuje Martuccia Gomito. Usłyszawszy o jego śmierci, z rozpaczą wypływa samotnie na morze w czółnie, które przybija do brzegu w Suzie. Znalazłszy umiłowanego przy życiu w Tunisie, uwiadamia go o swoim przybyciu. Martuccio, który dzięki swym radom pozyskał łaski króla, żeni się z nią i na Lipari jako wielce bogaty człek powraca.

Gdy Panfilo opowieść swoją skończył, królowa wielkimi pochwałami go obdarzyła, a potem Emilii dalej ciągnąć kazała. Emilia w te słowa zaczęła:

– Każdy słusznie cieszyć się musi, jeśli widzi, że nagroda pragnieniom dorównuje. Ponieważ zaś miłości bardziej się uśmiech szczęścia niż łza strapienia należy, chętniej tedy²⁷ wypełnię wolę obecnej królowej niż jej poprzednika, króla.

„Wiedzcie zatem, miłe przyjaciółki, że niedaleko od Sycylii znajduje się mała wysepka Lipari, gdzie przed niedawnym czasem żyła młoda dziewczeczka niezwykłej urody, córka bogatych ludzi, Konstancją zwana. Miłował ją niejaki Martuccio Gomito, także z wyspy tej pochodzący, wielce urodziwy, szlachetny i obyczajny młodzieniec. Dzieweczka odpłacała mu równą miłością i tylko wtedy szczęśliwą się czuła, gdy go przy sobie miała. Martuccio, pragnąc ją pojąć za żonę,

²⁷ tedy (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

poprosił jej ojca, aby mu ją dał w stadło, aliści²⁸ otrzymał odpowiedź, że Konstancja nigdy się nie stanie małżonką ubogiego człeka. Martuccio, srodze poruszony, że z przyczyny ubóstwa nim wzgardzono, postanowił Lipari opuścić. Przed odjazdem przysiągł krewniakom i przyjaciółom, że nie wróci do domu pierwiej, zanim się bogatym człowiekiem nie stanie. Po czym odpłynawszy począł przy brzegach Berberii²⁹ korsarstwem się parać, grabiąc każdego, kto okazał się słabszym od niego. Los mu wielce sprzyjał i wszystko jak najlepiej by było, gdyby zdołał w szczęściu miarę zachować. Martuccio i jego towarzysze, nieukontentowani z nagromadzonych w krótkim czasie skarbów, pragnęli niezmiernymi bogactwami owładnąć. Pewnego dnia napadli na nich na swych statkach Saraceni, którzy po zaciętej walce w niewolę ich wzięli i złupili. W czasie boju wielu towarzyszków Martuccia żywot postradało; okręt Martuccia zatopiony został, on sam zaśie uprowadzony do Tunisu i tam do lochu na długą niedolę wtrącony. Po wyspie Lipari wkrótce poszły słuchy, przez wiele ust powtarzane, że Martuccio i wszyscy jego towarzysze śmierć w głębi morza znaleźli.

Młoda dziewczeczka, odjazdem Martuccia wielce strapiona, na

²⁸ *aliści* (daw.) – jednak, jednakże. [przypis edytorski]

²⁹ *Berberia* a. *Barbaria* – termin stosowany w Europie między XVI a XIX w. na określenie krajów Maghrebu, czyli nadmorskich regionów Afryki Płn., obejmujących dzisiejsze tereny Maroka, Algierii, Tunezji i Libii; koczownicze plemię Berberów, daw. mieszkańców tych ziem, użyczyło tu w uproszczeniu swej nazwy krainie; od XI do XIX w. słynni byli w basenie Morza Śródziemnego piraci berberyjscy. [przypis edytorski]

wieść o jego śmierci długo płakała, aż wreszcie postanowiła życia się pozbawić. Ponieważ jednak nie miała odwagi gwałtowną drogą śmierci sobie zadać, wymyśliła tedy nowy sposób samobójstwa. Pewnej nocy, opuściwszy tajnie dom rodzicielski, pobiegła do portu i ujrzała tam na uboczu barcę rybacką, z masztem, żaglami i wiosłami, których właściciele, co dopiero wylądowawszy, z sobą nie zabrali. Natychmiast wsiadła na nią, po czym odbiła od brzegu, rozpięła żagle (miała bowiem, jak wszystkie mieszkanki wyspy, niejaką w żeglarstwie biegłość), a znalazłszy się na pełnym morzu odrzuciła ster i wiosła i na łaskę fal oraz wiatru się zdała. Konstancja była twardo przekonana, że barka, steru i ładunku pozbawiona, albo się pod wiatrem przewrócić musi, albo też, natrafiwszy na podwodną skałę, roztrzaska się na drzazgi; wówczas ona, choćby się i ratować chciała, uczynić tego nie zdoła i pożądaną śmierć wreszcie w falach znajdzie. Z tą myślą zarzuciła połę swej szaty na głowę i gorzko płacząc, na dnie barki legła. Jednakże stało się całkiem inaczej, niż przypuszczała. Wiatr od północy dął łagodnie, morze było ciche, barka trzymała się na falach doskonale, tak że nazajutrz pod wieczór znalazła się o sto mil powyżej Tunisu. Przybiła wreszcie do brzegu niedaleko miasta Suzy. Dzieweczka nie wiedziała nawet, czy znajduje się na pełnym morzu, czy u brzegów, nie spodziewając się bowiem żadnego szczęśliwego przypadku, głowy nie podnosiła ani podnosić nie myślała. Tymczasem właśnie w chwili gdy barka o brzeg uderzyła, na wybrzeżu znajdowała się uboga

białogłowa, żona rybaka, która sprzątaniami sieci zatrudniona była. Ujrawszy barkę, wielce się zadziwiła, że łódź z rozpiętym żaglem do brzegu dotarła. Mniemając, że rybacy na barce zasnęli, zbliżyła się do niej i wówczas spostrzegła młodą dziewczkę, we śnie mocnym pogrążoną. Poczęła na nią wołać i wstrząsać nią, aż wreszcie po długich zachodach obudzić ją zdołała. Uznawszy po szatach dziewczki, że musi być ona chrześcijanką, zapytała ją w języku włoskim, jakim sposobem sama na łódce tutaj się znalazła? Konstancja, włoską mowę usłyszawszy, pomyślała, że ani chybi, wiatr się obrócił i że z powrotem do Lipari ją przygnał. Podniosła się tedy co żywo, obejrzała dokoła, a nie poznając wcale tych stron, spytała białogłowy, gdzie się znajduje.

– Dziecię moje – odparła rybaczka – jesteś niedaleko Suzy w Berberii.

Na te słowa dziewczka srodze się zmartwiła, że Bóg jej śmierci znaleźć nie dozwolił. Nie wiedząc, co jej dalej czynić należy, zmieszana i zawstydzona, usiadła w pobliżu łodzi i gorzko płakać zaczęła. Szlachetna białogłowa, współczująca jej z całego serca, pocieszała ją, jak mogła, aż wreszcie skłoniła ją do tego, że do wnętrza pobliskiej chaty weszła. Tam, uspokoiwszy się znacznie, opowiedziała rybaczce, jakim sposobem w tych stronach się znalazła. Dowiedziawszy się z jej słów, że długo już nic w ustach nie miała, rybaczka dała Konstancji kawałek suchego chleba, rybę wędzoną i szklanek wody, prosząc ją wymownymi słowy, aby się trochę posilić chciała. Konstancja,

przystawszy na jej prośbę, spytała białogłowy, kim ona jest i skąd włoską mowę pojmuje? Rybaczka odparła, że pochodzi z Trapani, że się zwie Carapresa i że trudzi się usługami u rybaków-chrześcijan. Dzieweczka, mimo strapienia swego, usłyszawszy imię Carapresa, co jako miła zdobycz się wyklada, sama nie wiedząc dlaczego, za dobrą wróżbę je wzięła i w ściśnionym swym sercu niejaką nadzieję poczuła, tak iż pragnienie śmierci zmniejszyło się nieco. Nie odkrywając rybaczce, kim jest i skąd pochodzi, jeła³⁰ ją zaklinać, aby nad młodością jej się ulitowała i poradziła jej, co ma uczynić, aby ochronić się od niebezpieczeństw, które jej tutaj zagrażać mogą. Carapresa, wielce szlachetna białogłowa, nie odpowiedziała jej nic na to, pobiegła jeno³¹ żywo, aby zebrać pozostawione na brzegu sieci, a po powrocie owinęła ją całą w płaszcz i do Suzy zawiodła. Gdy do miasta weszły, rzekła w te słowa:

– Zawiodę was, pani, do domu pewnej zacnej Saracenki³², której często posługuję, gdy zajdzie potrzeba. Jest to szedziwa³³ białogłowa o miłosiernym sercu. Poproszę ją jak najgoręcej, aby nad wami pieczę miała. Upewniona jestem, że przyjmie was jak córkę rodzoną. Wy zaś starajcie się z wszystkich sił o pozyskanie jej względów aż do chwili, gdy Bóg wam lepszy ześle los.

Pocziwa rybaczka uczyniła tak, jak rzekła. Stara Saracenka,

³⁰ *jąć* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

³¹ *jeno* (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

³² *Saracenka* – tu: Arabka. [przypis edytorski]

³³ *szedziwy* – dziś popr.: sędziwy; wiekowy; stary. [przypis edytorski]

wysłuchawszy opowieści rybaczki, spojrzała bacznie na Konstancję, rozplakała się, pocałowała ją w czoło, a potem wzięła ją za rękę i wprowadziła do swego domu, w którym żyła pospołu z innymi białogłowami bez męskiej kompanii. Białogłowy te zajmowały się rzemiosłem, wyrabiając różne przedmioty z liści palmowych, skóry i jedwabiu. Konstancja po kilku dniach przyswoiła sobie w części ich kunszt, tak iż mogła w wspólnych pracach udział przyjmować. Gospodyni i jej towarzyszki osobną³⁴ przychylnością i miłością ją obdarzały. Dzięki ich pomocy młódka wkrótce miejscowej mowy się nauczyła. Tak tedy dziewczeczka, którą w Lipari już jako umarłą oplakano, w Suzie żyła.

W tym czasie królem Tunisu był niejaki Mariabdela. Zdarzyło się, że pewien wielce bogaty młodzian, przebywający w Granadzie, a posiadający znaczne skarby i potężnych krewniaków, jął się o koronę Tunisu ubiegać, mówiąc, że jemu przypaść winna. Stanąwszy na czele ogromnego wojska, wyruszył do Tunisu, aby prawego władcę wygnać. Wieść o tym doszła do Martuccia Gomito, który w więzieniu wiek swój trawił. Znając dobrze arabską mowę i słysząc, że król Tunisu wielką armię dla obrony kraju zbiera, rzekł do jednego ze straży:

– Gdybym mógł mówić z królem, dałbym mu jedną radę, dzięki której, jak tuszę³⁵, zostałby w tej wojnie zwycięzcą.

³⁴ *osobny* (daw.) – tu: osobliwy, szczególny. [przypis edytorski]

³⁵ *tuszyć* (daw.) – mieć nadzieję; por.: *otucha*. [przypis edytorski]

Strażnik więzienny powtórzył te słowa swemu dowódcy, a ten o wszystkim królowi doniósł. Król rozkazał Martuccia sprowadzić i zapytał go, jakiej rady chce mu udzielić?

– Panie – odparł Martuccio – jeśli, przebywając od dawna w waszych stronach, dobrze wasz sposób wojowania zważyłem, na tym się on zasadza, że największe znaczenie łucznikom przypisujecie. Dlatego też niewątpliwą rzeczą mi się wydaje, że jeśli u wrogów waszych strzał zabraknie, podczas gdy wy będziecie ich mieli do zbytku, zwycięstwo wam w udziale przypadnie.

– Ani chybi – odparł król. – Ale jak to sprawić?

– Łatwie³⁶ to zdziałać można – rzekł Martuccio – i zaraz wam, panie, stosowny środek przedstawię. Należy łuczników waszych opatrzyć w łuki z daleko cieńszą cięciwą od używanej zwyczajnie i przysposobić zapas strzał, których karby tylko do tak cienkiej cięciwy się nadadzą. Wszystko to trzeba w głębokiej tajności zachować, tak aby nieprzyjaciel o niczym się nie dowiedział, w przeciwnym razie bowiem, mógłby grożącemu niebezpieczeństwu zaradzić. Gdy już zastępy wrażeń łuczników cały zapas swoich strzał wystrzelają, a wasi łucznicy także już bez pocisków zostaną, jedni i drudzy będą musieli wówczas podnosić strzały, co z przeciwnej strony wypuszczone zostały. Aliści nieprzyjaciele waszych strzał użyć nie będą mogli, ponieważ cienkie karby w grube cięciwy łuków wprawić się nie dadzą, podczas gdy wasi łucznicy łatwo nieprzyjacielskimi strzałami

³⁶ *łatwie* – dziś: *łatwo*. [przypis edytorski]

prażyć będą mogli. Wojska wasze, panie, będą miały tedy³⁷ obfitszy zapas pocisków, kiedy wróg swój już wyczerpie.

Król, który był wielce mądrym człowiekiem, pochwalił radę Martuccia i zastosował się do niej, dzięki czemu walne zwycięstwo nad nieprzyjacielem odniósł. Martuccio, szczególne jego względy pozyskawszy, na wysoki stopień dostojności się wzniosł i stał się bardzo możliwym człowiekiem. Słuchy o jego fortunie po całym kraju poszły. Wreszcie i Konstancja, która tak długo Martuccia za umarłego poczytywała, dowiedziała się, że kochanek jej żyje. Miłość do niego, która już w jej sercu ostygła nieco, nowym i gwałtowniejszym jeszcze płomieniem się zapaliła, budząc zarazem wszystkie jej umarłe nadzieje. Młódka postanowiła odkryć wszystko Saracence, w domu której schron znalazła. Oświadczyła jej tedy, że do Tunisu udać się zamierza, aby nacieszyć swe oczy widokiem tego, czego pragnienie uszy w niej obudziły, gdy nowe wieści zasłyszwała. Saracenka zamysł jej pochwaliła; czując do młódki afekt macierzyński, wsiadła z nią pospołu na okręt i do Tunisu się udała. Po przybyciu na miejsce zatrzymały się, godnie przyjęte w domu jednej z krewniaczek Saracenki. Konstancja natychmiast wysłała Carapresę, którą z sobą zabrała, aby zasięgnęła wieści o Martucciu. Staruszka wnet dowiedziała się, że Martuccio pośród wielkich dóbr żyje. Wówczas młoda niewiasta poprosiła ją, aby sama do Martuccia się udała i oznajmiła mu, że jego Konstancja do Tunisu przybyła. Staruszka, stanąwszy przed obliczem młodzińca, tak rzekła:

³⁷ tedy (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

– Martuccio, jeden z dawnych sług twoich, który przybył z Lipari i stanął w moim domu, pragnie w tajności z tobą pomówić. Nie żywiąc do nikogo ufności, przybyłam do cię sama, aby jak tego chciał, o tym ci oznajmić.

Martuccio za tę uprzejmość stosowny *dank*³⁸ jej złożył i udał się za nią do jej domu. Ujrzawszy go, Konstancja o mały włos nie umarła z radości; niezdolna zapanować nad sobą, rzuciła mu się z otwartymi ramionami na szyję. Nie miała siły jednego choćby słowa wymówić i tylko cicho płakała, wspominając przebyte nieszczęścia i wielką obecną radością się ciesząc. Martuccio, obaczywszy Konstancję, z początku się zdziwił, a potem z głębokim westchnieniem rzekł:

– O moja miła Konstancjo! Więc ty żyjesz? Dawno mi już za pewne podawano, że zaginęłaś i w domu nic o tobie nie wiadano.

Z tymi słowy objął ją i ucałował.

Konstancja opowiedziała mu o wszystkich przypadkach swoich, wspomniała także o dobrodziejstwach doznanych od Saracenki, w domu której schronienie znalazła. Martuccio, po długiej rozmowie z Konstancją, udał się do króla i opowiedziawszy mu całą historię swoją i Konstancji, oznajmił, że za jego zezwoleniem pragnąłby ukochaną swoją wedle chrześcijańskiego obyczaju zaślubić. Król, zadziwiony niepomatu³⁹ tymi zdarzeniami, rozkazał przywołać Konstancję.

³⁸ *dank* (daw., z niem.) – podziękowanie, wyrazy wdzięczności. [przypis edytorski]

³⁹ *niepomatu* (daw.) – niemało. [przypis edytorski]

Wysłuchawszy jej opowieści, na wszem⁴⁰ do opowieści Martuccia podobnej, rzekł:

– Zasłużyłaś sobie w pełni na takiego małżonka!

Potem rozkazał przynieść drogocenne podarki, rozdzielił je między Konstancję i Martuccia i pozostawił im zupełną swobodę stanowienia o losie swoim. Martuccio podziękował w gorących słowach Saracence za jej opiekę nad Konstancją i bogatymi darami ją obsypał. Konstancja ze łzami w oczach staruszkę pożegnała. Później za pozwoleniem króla wsiedli na okręt, wziąwszy z sobą Carapresę i korzystając z pomyślnego wiatru, do Lipari pożeglowali. Przyjęto ich tam z takim uczczeniem i radością, że tego nie lza⁴¹ w słowach wyrazić. Martuccio wspaniałe wesele wyprawił. Żyli potem jeszcze długo, ciesząc się w pokoju wzajemną miłością swoją”.

⁴⁰ *na wszem* – we wszystkim. [przypis edytorski]

⁴¹ *nie lza* (daw.) – nie można. [przypis edytorski]

Opowieść trzecia. Na włos od śmierci

Pietro Boccamazza, uciekając z Agnolellą, wpada w ręce łotrzyków. Dzieweczka salwuje się ucieczką do lasu i po pewnym czasie do zamku się dostaje. Pietro, uszedłszy z rąk łotrzyków, po wielu przygodach przybywa do tego samego zamku, żeni się z Agnolellą i razem z nią do Rzymu powraca.

Całe towarzystwo gorącymi pochwałami opowieść Emilii obdarzyło. Gdy nowela do końca doprowadzona została, królowa Elizie opowiadać kazała. Ta, wezwaniu posłuszna, w te słowa zaczęła:

– Przychodzi mi na myśl, miłe damy, straszna noc, którą dwoje nierozważnych kochanków przeżyć musiało. Ponieważ jednak po tej nocy wiele radosnych dni nastąpiło, tedy⁴² mogę o niej opowiedzieć, od naznaczonej na dziś materii wcale nie odbiegając.

„W Rzymie, będącym kiedyś głową świata, a dziś jego ogonem⁴³, żył przed niedawnymi czasy młodzieniec pewien, imieniem Pietro Boccamazza, do znacznej rodziny rzymskiej należący. Zakochał się on w pięknej i wielce wdzięcznej

⁴² *tedy* (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

⁴³ *W Rzymie, będącym kiedyś głową świata, a dziś jego ogonem* – aluzja do okresu (1309–1377) wyludnienia i upadku miasta po przeniesieniu stolicy papieskiej z Rzymu do Awinionu we Francji. [przypis edytorski]

dzieweczce, Agnolelli, córce niejakiego Gigliuozzo Saullo, człeka podłej kondycji, który mimo to powszechnym mirem w Rzymie się cieszył. Boccamazza potrafił wkrótce wzajemną miłość Agnolelli pozyskać. Pietro, gorącą miłością przynaglany, nie mogąc się oprzeć pragnieniu posiadania umiłowanej dziewczeczki, o rękę jej poprosił. Na wieść o tym jego krewniacy zgodnie w surowych słowach ganić jego wybór poczęli. Krom⁴⁴ tego, kazali panu Gigliuozzo Saullo powiedzieć, aby prośbom Pietra posłuchu nie dawał, bowiem, jeśliby dopiął swego, oni nigdy za swego krewniaka ani przyjaciela go nie uznają. Pietro, widząc drogę do szczęścia przed sobą zamkniętą, o mały włos nie umarł z rozpacz. Gdyby tylko Gigliuozzo na to przystał, ożeniłby się wbrew woli całej rodziny swojej. Potem jednak do tej myśli przyszedł, że wystarczy całkiem, jeśli zgodę umiłowanej dziewczeczki pozyska. Wybadawszy tedy przez trzecią osobę Agnolellę, dowiedział się, że jest to po jej myśli. Wówczas pospołu z nią uciec z Rzymu postanowił. Opatrzywszy się we wszystkie rzeczy do podróży potrzebne, Pietro pewnego ranka o wczesnej godzinie siadł pospołu z Agnolellą na konia i skierował się do Anagni, gdzie posiadał przyjaciół, na których mógł w zupełności liczyć. Jechali rączo, a obawiając się pogoni, nie mieli czasu oddać się miłości, tylko mówiąc o niej po drodze, od czasu do czasu wymieniali pocałunki. Pietro niezbyt dobrze znał drogę, dlatego też, odjechawszy jakieś osiem mil od Rzymu, miast⁴⁵

⁴⁴ *krom* (daw.) – oprócz. [przypis edytorski]

⁴⁵ *miast* (daw.) – tu: zamiast. [przypis edytorski]

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.